

Warszawa dnia 10 (22) Listopada 1865 roku.

Nr 47. { Cena w Warszawie 40 gr. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złp. kwartalnie. (Redakcja przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715). } Rok I.

KLEMENS WYDRZYŃSKI.

Kto tylko zastanowił się nad pożytkiem, jaki lasy wyświadczają w ogólnéj ekonomice kraju, kto zdrowo pomyślał nad szkodą, jaką wyświadczają ci, co nieoględnie tępią lasy, niepomni, że przez to uszczuplają bogactwo narodowe i przyszłym pokoleniom nieobliczone wyrządzają krzywdy, ten uzna zasługę człowieka, któremu powierzono sterownictwo nad lasami, własność skarbu publicznego stanowiącemi, sterownictwo, z którego wywiązywał się umiejętnie i zacnie, a takim był bez zaprzeczenia zmarły w dniu 1 grudnia roku zeszłego Klemens Wydrzyński, Naczelnik Sekcji Leśnéj przy Komisji Rządowéj Przychodów i Skarbu.


Klemens Wydrzyński.—(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Stifi).

Syn ubogiego zaściankowego szlachcica, przyszedł na świat w 1800 r., w mieście Szakach, powiecie Marjampolskim. Pierwsze zaczątki wychowania odebrał w domu rodzicielskim. Następnie, zaledwie z dziecińśtwa wyszły młodzieniec, o własnych siłach, prawie bez żadnéj pomocy ze strony rodziców, udaje się do Łomży, i ucząc siebie i innych, znajduje sposób utrzymania, kończy szkoły wojewódzkie, udaje się następnie do Warszawy, odbywa kursa uniwersyteckie, zyskuje dyplom ze stopniem Magistra prawa i administracji, i wchodzi do służby rządowéj, jako urzędnik uniwersytecki.

Łatwo zaiste opisywać spełnione fakta, lecz gdy się bliżéj zastanowimy, ile to pracy i mozołu dołożyć, ile starć z przeciwnościami musiał stoczyć młody naówczas Wydrzyński, aby zapewnić sobie pierwsze potrzeby utrzymania życia, już to jako uczeń szkół wojewódzkich, już to jako student uniwersytetu, wtedy łatwo odgadniemy, że młodzieniec z takiem wytrwaniem, zapowiadał męża, co się dobrze zasłuży krajowi. I rzeczywiście, Wydrzyński, skończony akademik, urzędnik mający jakie takie utrzymanie, powodowany żądzą dalszéj jeszcze nauki, opuszcza stanowisko swoje, i zapisuje się jako uczeń do szkoły specjalnéj leśnictwa, nowo wtedy w Warszawie utworzonéj. W tém postąpieniu młodzieńca, uwydatnia się najlepiéj szlachetna żądza do czynnego życia i pracy, oraz zamiłowanie specjalności, bo proszę przedstawić mi drugi przykład podobnéj doniosłości postąpienia— postąpienia z zaparciem się własnéj godności, przenoszącego zaszczyty spotkać go mogące na łatwiejszéj owocześnie karjerze w urzędowaniu, aniżeli w rozwijającéj się dopiero szkole leśnictwa.

Kończy więc szkołę leśną, i wstępuje w zawód służby publicznéj jako leśnik—specjalista. Na téj drodze przechodzi wszystkie szczeble niższéj hierarchji leśnéj, od podleśnego aż do Naczelnika lasów skarbowych. Zapamiętamy dobrze te chwile, kiedy jeszcze, będąc referentem Sekcji Leśnéj, stargany pracą, nachylony nad zielonym stolikiem, przy-

świecający swoją obszerną wiedzą całemu składowi służby leśnéj, musi znosić przenoszące możność jednego człowieka jarzmo prac biurowych. Nie utyskiwał jednak, pracował pomimo słabości wzroku; pracował nieraz całemi nocami, i to go pochyliło ku ziemi, przedwcześnie uczyniło starcem, a może najgłówniejszym było powodem nieuleczonéj choroby.

Powiedzieliśmy, że Wydrzyński z kolei przechodził wszystkie urzędowe stopnie w hierarchji leśnéj, nie mamy potrzeby wymieniać biegu jego służby; bo ona była podobną do tylu innych. Raz tylko jeden opuścił stanowisko swoje, i od roku 1830 do 1839 nie był w służbie rządowéj, poświęcając pracę swoją lasom prywatnym.

Obok zajęć służbowych, był Członkiem Kommissji Egzaminacyjnéj dla leśników, przy Rządzie Gubernjalnym Warszawskim ustanowionéj, Członkiem honorowym b. Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem, stałym współpracownikiem Gazety Rolniczéj, Sylwana i Encyklopedji Powszechnéj.

Obok tego napisał następujące dzieła:

1. Zasady ogólne zarządu i gospodarstwa lasów rządowych i prywatnych, (Sylwan tom 18 i 19).
2. Przewodnik dla służby leśno-rządowéj w 2-ch tomach.
3. Urządzenie lasów w Królestwie Polskiem.
4. Las i jego wpływ na gospodarstwo narodowe.

Ten czynny i arcy-pracowity żywot,—to niesienie rozległéj wiedzy, na ołtarz ogólnego ukształcenia całéj służby leśnéj, to wreszcie gorliwe spełnianie obowiązków prawdziwie miłującego swój kraj obywatela-leśnika; powinno być wymownym dowodem, jaka jest potęga usilnéj pracy, opromienionéj wiedzą, z prawdziwego ukształcenia umysłu i serca powstałą. Imię zacnego Wydrzyńskiego, niezapomnianem będzie w historji leśnictwa Polskiego; jego żywot, to piękny wzór do naśladowania dla młodych pokoleń, zwłaszcza leśników naszych.

Adam Mieczyński.

FANT NA LOTERJĘ.

(Na korzyść pogorzelców).

Cichym rankiem, u okienka,
W Starem-Mieście gdzieś wysoko,
Zasiadła młoda panienka,
Zadumane wzniosłszy oko.
Jakiś smutek na jéj twarzy,
Ślady pracy przy niéj wkoło.
O czem myśli? o czem marzy?
Że tak w duszy nie wesoło.
Wkońcu tak do siebie rzecze:
„Ciężkać w życiu rzecz niedola,
Lecz wszak człowiek nie docieczе,
W czem tam dobra Boska wola.
Pożar! pożar! rzecz straszliwa,
Chłonie życie i dostatki,
Sama strachem myśl przeszywa,
Och! te starce, och te dziatki!
Te pobladłe smutkiem twarze,
Włosy powstałe ze strachu.
Możni kupcy, gospodarze,
Dziś bez chleba i bez dachu,
Jednak Pan Bóg w swéj mądrości,
Każdy ból pociechą płaci,
Wzbudza drugich do litości,
Nad straszliwą nędzą braci.
On to natchnął i Warszawę,
Że do ofiar się zachęca,
I że miłą nam zabawę,
Nieszczęśliwym w dań poświęca.
Na loterją co kto może,
Pogorzelcom chętnie składa,
Co też ja dam? wielki Boże!
Tyś sam świadkiem, żem dać rada.
Gdybym żyła w innym bycie,
Hojne niosłabym też datki,
Lecz w ubóstwie wiodę życie,
Nie mam ojca, nie mam matki.
Jednak pragnę..... wiem co zrobię.
Oto krzyżyk, przedmiot zbytku,
Niech go tam kto wygra sobie,
Zawszeż będzie do użytku.
Niegdyś w szczęsne życia chwile,
Dały mi go matki ręce,
Nie rozgniewam jéj w mogile,
Gdy nieszczęsnym go poświęcę.
Dla niebogi, dla sieroty,
Zbytek dobrem jest nietrwałem,
Na co dla mnie krzyż ten złoty,
Gdy krzyż cierpień mym udziałem.
Mam więc fant już.... daléj w drogę,
Gdzie mnie serca skłonność wzywa,
Jam nie biedna, bo dać mogę,
Jam bogata, jam szczęśliwa."
I posłuszne uczuć mocy,
Ku ulżeniu bratniéj męki,
Niosło dziewczę dar sierocy,
Gdzie go Chrystus wziął z jéj ręki.

Emilja Leja.

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 35 do 46).

Na rozmowach o pracy i modlitwie, zeszła nam jakoś tak prędko droga, że anim się spostrzegł, kiedy łysek zaczął szczekać i konie stanęły przed domem. Wszystkim nam jakoś było lekko i swobodnie, gdyśmy wysiedli, a Basia jak wiewiórka okrzątnęła się prędziutko około obiadu.

Myślałby kto, że nam w niedzielę, przy odpoczynku od pracy, przykrzyło się samotnym śród puszczy bez ludzi, bez karczmy i muzyki; tymczasem nam uciekały chwile jak jaskółki, a zawsze miło i z pożytkiem. Ot i tego popołudnia czytał nam Tomasz chwilę „Żywotów Świętych" księdza Skargi, co jest książka bardzo stara a przepięknie napisana. Czytał nam Tomasz ztamtąd żywoty różnych świętych polskich, królowéj polskiéj Kingi, królewicza Kazimierza i innych wiele, których już dziś nie pamiętam.

Gdy Tomasz zamknął księgę, odezwała się Basia:

— Mój tatusiu, może pod krzyż pójdziemy?

Na te słowa zachmurzyła się nieco smutkiem twarz Tomaszowa. Milczał przez długą chwilę, a wreszcie rzekł:

— Dobrze, pójdziemy!....

Powstaliśmy wszyscy; Basia pobiegła na chwilę do ogródka i wyniosła ztamtąd kilka ładnych lilji, poczem zarzuciła chustkę na głowę, i takeśmy wyszli wszystko troje, prosto w pole za obórkę, ku lasowi.

Tomasz szedł milczący, i widać mu było z twarzy

że był czegoś smutny. Basia zbierała kwiatki po drodze i nic jeno wiła wianek i wiła, wtykając doń owe piękne lilje, co ja ujrzawszy, pomagałem jéj zbierać kwiateczki do wieńca.

Tak idąc przyszliśmy na wolne miejsce, gdzie był mały pagóreczek, a na tym pagórku nic, jeno krzyż samotny z białéj nieodartéj brzeziny. Doszedłszy do pagórka, zdjął Tomasz kapelusz i ukląkł, więc i my oboje z Basią uklękliśmy i mówiliśmy cichy paciorek. A tak było cicho i takeśmy zatopieni byli w modlitwie, że, nie bojąc się nas wcale, usiadł skowronek na wierzchołku krzyża, i świergocząc kończył pieśń gdzieś pod Niebem zaczętą.

Skowronek odleciał i my wstali z klęczków, a zbliżywszy się bardziéj do krzyża usiedliśmy na trawniku. Basia kończyła wić swój wianek, a Tomasz tak się odezwał:

— Nie wiesz ty jeszcze Antku, co ten krzyż znaczy; pogrzebałem tu żonę, wierną towarzyszkę życia, mój Boże, kobietę jakich bardzo mało.....

Tu przestał na chwilę Tomasz, bo głos jego był jakiś odmienny, a westchnąwszy głęboko, tak mówił daléj pewniejszym już głosem:

— Musiałeś już po mnie, po mojéj mowie i po zwyczajach moich uważać, żem nie tutejszy. Oj, zdaleka jestem, z daleka, aż z Mazurów, aż z pod Warszawy..... Mój Boże, już pewnie nigdy nie obaczę mojéj wsi rodzinnéj! Lat z górą ośmnaście, jakiem ją opuścił i przyszedłem w te bory z żoną, z trochą grosiwa w trzosie, i z dwojgiem rąk zdolnych do pracy. Dla czego tu przybyłem, długoby o tem trzeba rozpowiadać...... Ot, bo nieraz i poczciwego człowieka nieszczęście prześladuje! Lecz co tam o tem wspominać..... Gdyśmy w te bory przyszli, stał majdan biednego mazura w tem miejscu, gdzie dzisiaj nasza zagroda. Ubogi był to szałas i niby kawałek gruntu ornego, a zresztą nic; ot majdan, tak, jak i dziś jeszcze majdany są w puszczy. Mazur siedzący na owym majdanie, był to człek podeszły; odumarło go wszystko, więc nie wiedział co ze sobą począć. A gdyśmy przyszli do niego i zapytali, czyby nie zechciał sprzedać tego kawałka ziemi, to nas biedny za kolana uściskał, i odstąpił za niewielki pieniądz, a potem, wziąwszy kosztur do ręki i torbę przez ramię, ruszył gdzieś do swoich. Tyleśmy go widzieli....

Zaczęła się teraz praca. Za resztę pieniędzy kupiło się krowinę, dwie liche szkapy i coś z niezbędnie potrzebnych narzędzi gospodarskich. Starą chatynkę popodpieraliśmy i poobtykali mchem, i tak biedując szło z razu bardzo trudno, lecz od czegóż rozum, i przemyślność u człowieka! Żona zbierała grzyby i jagody, ja umiałem nieźle strzelać, więc zarabiałem ubijaniem zwierzyny, oprócz tego podbierałem leśne barcie i zarobek był spory, a nie traciliśmy na żadne hulanki i zabawy. Z gruntem była najgorsza; bo to piasek i szczery piasek, lecz przecież wydawało tyle, że można było wyżyć. I ot, dobrze to mówią: ziarnko do ziarnka, będzie pełna miarka, grosz do grosza.... i ot zrobiło się wszystko jak jest po dziś dzień. W trzecim już roku zwaliłem starą chatę, a nająwszy sobie na jakiś czas dwóch ludzi, postawiłem nową, bo znam się na ciesielce. Potrzeba było wtedy porządniejszéj izby, gdyż kobieta moja miała się ku słabości, i jakoś właśnie po ukończeniu roboty, pod zimę urodziła nam się Basia..... Co ztąd było uciechy, choć przy biedzie, trudno wypowiedzieć!

Daléj szło już łatwiéj, jedno płynęło z drugiego. Stanęła nowa obora, zamiast jednéj krówki starczyło na dwie lepsze, i szkapki na dobre się zmieniły, i grunt się poprawił i powiększył: zgoła przyszło powoli do tego, co jest dzisiaj. A że nam szło tak szczęśliwie, to najprzód Bogu dzięki, że pracy błogosławił, a potem wielka w tem zasługa méj żony nieboszczki, bo gdyby nie ona, toby i przez połowę tego nie było! Jaka tam była pracowitość w téj kobiecie, a jaka rządność, skromność i bogobojność, to trudno wypowiedzieć. Więc i mnie dwa razy tyle siły przybywało, gdym widział, że wszystko na pożytek idzie, że dobytek rośnie pod rękami. O, przekonałem ja się, jaki to skarb jest dobra gospodyni!

— Dziesięć miesięcy temu, ciągnął Tomasz po chwili, zaniemogła bardzo. Leżała w ciężkiéj gorączce, bez przytomności, i marzyła o różnych rzeczach, a najbardziéj wspominała Basię. Widać jak mocno była przywiązana do tego dziecięcia... Jeździliśmy po doktora aż do Pińska, stawialiśmy pijawki, dawaliśmy różne leki, lecz napróżno..... Po czternastu dniach skonała, znać była taka wola Boska.... *(Dalszy ciąg nastąpi).*

KRAKOWIANKA.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 44 i 45).

Maryna tymczasem, do któréj wrócimy się znowu aż w tę chwilę, kiedy gapia z otworzoną gębą zostawiła za płotem, pobiegła do domu, i wyglądając jak sarneczka spłoszona, zajęła się najpierw... czemże? zgadnijcie... oto: poprawianiem chusteczki na głowie i gorsiku na piersiach; i rumieniąc się także, choć sama już teraz nie wiedziała dla czego, zadumała się..... oczka w Niebo wysłała z jakiemś zapytaniem... i czekała w milczeniu ztamtąd odpowiedzi. Ale odpowiedź nie przychodziła z góry, tylko tu na lewo na boku coś stuknęło mocniéj pod gorsetem; Maryna wzdrygnęła się, załamała rączki, i zawołała sama do siebie dość głośno:

— I cóż ja najlepszego zrobiła?

— Cóż takiego? zapytał się tutaj znowu stryjaszek swojéj wychowanicy.

— Ej nic, tak, oto zapomniałam o mojéj kwoczce. I nie czekając dalszéj indagacji, wybiegła przed dom bijąc się z myślami, czy iść do ogrodu, czy nie iść. Iść?... ale po co? Rozśmiałam się z niego, on się zgniewał, a ładny chłopiec, i zdawał się dobrym. Nie iść? kiedybym chciała go jeszcze raz zobaczyć. Iść? nie iść? Paluszkami zaczęła przerabiać, i tymczasem nieznacznie zbliżyła się do sadu, i już z za węgła domu wysunęła się tak, że mogła dostrzedz to miejsce i ten kawałek płotu, za którym zostawiła przedmiot obecnych swoich kłopotów. Patrząc się pilnie w tamtą stronę, niedostrzegła jednak nikogo: ośmielona postanowieniem silnem ujrzenia go raz jeszcze, wybiegła; ale za sadem nie było już nikogo. A ha! i to figlarz?! zawołała sama do siebie, ale odtąd codziennie patrzyła się w owo miejsce za płotem, lecz tam nigdy nikogo już nie widziała.

Od tego czasu upłynął rok cały... a oboje ciągle zdaleka zostawali od siebie. On nie miał odwagi; ona nie mogła. Że się kochali, o tem każdy czytelnik domyślił się już zapewne; ale że żadno o sobie nic nie wiedziało, o tem ja mu dopiero muszę powiedzieć.

W przeciągu tych 12 miesięcy, jak łatwo sobie każdy wyobrazić może, nieraz nadarzała się sposo-

bność, dla Piotrusia i Maryny, że się gdzieś razem zeszli; na siebie przypadkiem spojrzeli; w żadnym jednak z takich szczęśliwych razów nie zbliżyli się ni na krok do siebie. Piotruś ze wstydu, Maryna przez skromność. Rok takiéj obustronnéj niepewności, w miarę rozwijania się obydwóch stron i dojrzewania, wyrobił, tak w Marynie jako też i w Pietrusiu, dziwne, a nawet chorobliwe usposobienie, tak, że się o nich obawiać poczęto. Ale cóż było robić? Zaradzić nie było można, bo nikt nie wiedział, jaka w rzeczy saméj przyczyna spowodowała to ich usposobienie. Maryna jak zwykle nabożna, chętna do pracy, na pozór nawet wesoła, śpiewająca ciągle, ale coraz to smutniejsze piosnki, stroniła od ludzi i od wszelkiéj zabawy: nie znała tańca, ani żadnéj uciechy, bo najmilszą jéj rozrywką i uciechą była samotność, w któréj chodząc po sadzie posmutniała, śpiewała sobie po cichu:

Znikły roskosze, zagasły uciechy,
Znikły nadzieje, zabawy i śmiechy.
Już mi się tylko została tę-[sknota;
I piosnka o tem, że jestem [sierota.

Od szesnastego roku, biedne, młodziutkie dziewczę, ciągle taką piosnkę śpiewało w ogródku, a na liczku jéj widocznie gasł rumieniec zdrowia i świeżości, i uśmiech swobody i spokoju. Babula nie mogła sobie z nią dać rady. Ambroży naturbował się nie mało; Ambrożowa płakała często nad dobrą swoją wychowanicą i nie wierzyła wcale w to, co jéj sąsiadki tłumaczyły, że u Maryny ta sama choroba się odzywa, na którą jéj matka umarła; ale ciągle wyobrażała sobie jakieś dziwy i czary, kryjąc się przed wszystkiemi, a nawet i przed mężem z myślami o jakimś zaczarowanym księciu, który gdzieś Marynę musiał zobaczyć, i tak swoim wzrokiem opętał. Do tego naprowadziła ją także jedna piosnka Maryny:


Czytał nam Tomasz „Żywoty Świętych,"—(str. 374, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie J. Sosiński).

Chociaż mi ledwie serce nie wyskoczy,
Nigdy ci śmiało nie popatrzę w oczy.
O! bo na wieki, ja już nie dla ciebie,
Pierwéj mię smutek w mogiłkę zagrzebie!

Ambroży, słysząc te piosnkę, domyślał się trochę, t.j. domyślał się, że Maryna myśli o jakimś chłopcu, ale wiedząc, że u niéj piosnka na każdą rzecz na zawołanie była; nie dochodził z tego wątku do kłębka. Z tem wszystkiem jednakże Maryna w życiu i pracy nie zmieniła się zupełnie. Oprócz tylko tego, że częściéj i dłużéj w kościele zostawała, że nie dzieliła zabaw z rówiennicami, pracowała równie ochoczo jak dawniéj, i nie skarżyła się, ani westchnieniem nawet przed nikim.

Piotruś przeciwnie, zupełnie inaczéj zachowywał się, od czasu téj dziwnéj rzeczywiście sceny pod płotem. Stracił ochotę do pracy, stracił wesołość i humor i desperował, a narzekał przed wszystkiemi na nieszczęście, jakie *go ma spotkać;* ale także nie wyjawił przed nikim szczeréj prawdy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RÓZNE SPOSOBY OŚWIETLANIA.

(Dokończenie.—Obacz Nr 46).

W tym celu wszystkie produkty, otrzymane z rozkładu węgli ziemnych wprowadzamy w rury zanurzone w skrzynię, z żelaza lanego, noszącéj nazwę baryłeczki, i napełnionéj do pewnéj wysokości wodą; takie gazy wchodzące do niéj, wchodzą naprzód pod wodę, a potem się dopiero z niéj wydzielają. Ale sole amonjakalne rozpuszczają się w wodzie a smoła ścina się. Następnie gaz oczyszczony już z tych dwóch ciał niepotrzebnych, prowadzi się do innego przyrządu, nazwanego depuratorem czyli oczyszczalnikiem, gdzie przechodzi przez przetaki, napełnione wapnem sproszkowanem i zwilgoconem. Ciało to pochłania kwas węglany i siarko-wodor, którego tak koniecznie trzeba było się pozbyć.

Ale pomimo tego, oczyszczenie nigdy nie jest zupełne, i gaz zachowuje zawsze nieco nieprzyjemnego zapachu. Oczyszczony temi sposobami wprowadza się do rezerwoaru przeznaczonego do zachowania go, nazwanego gazometrem.

Przyrząd ten składa się z dwóch części: ze skrzyni przeznaczonéj do przyjmowania gazu i dzwonu, pod którym się zgromadza. Skrzynie te wydrążone w ziemi i pokryte cementem, nie przepuszczającym wody. Dzwon pokryty grubą warstwą smoły, zbudowany jest z mocnéj blachy żelaznéj. Łańcuch przymocowany do dzwona, zsuwa się na dwóch bloczkach, a na końcu ma ciężar równoważący mniéj więcéj gazometr. To ostatnie urządzenie, dozwala dzwonowi z łatwością wnosić się i zapuszczać w skrzynię; w ten sposób gaz nie ulega zbytniemu ciśnieniu, któreby mogło przeszkadzać rozkładowi węgli w retortach, a nawet sprowadzić rozerwanie naczynia. Gaz wychodzący z gazometru wchodzi do szerokiéj rury, z któréj mniejsze rurki z żelaza lanego prowadzą go na miejsce przeznaczone. Mniejsze rurki zwłaszcza w mieszkaniach zwykle są ołowiane.

Przez małą rurkę przewodnią łączącą się z rurami prowadzącemi gaz, tenże wchodzi do podwójnego próżnego cylindra, połączonego z kołdrą metaliczną, przebitą zwykle w 20 miejscach, przez którą przechodzi 120 do 150 litrów (miara francuzka równa kwarcie) na godzinę.

Ten ostatni przyrząd nazywa się bekiem od francuzkiego wyrazu: „bec" co znaczy dziób. Beki latarni ulicznych, są grubemi i dość szerokiemi rurami z wązką szparą u wierzchu, przez tę szparę przechodzący gaz, przybiera postać skrzydła motyla.

Świece stearynowe. Około roku 1831 zaczęto uży-

wać we Francji, a wkrótce i w innych krajach, oświetlania za pomocą świec stearynowych. Z początku uważane były jako przedmiot zbytkowy, przeznaczony do zastąpienia kosztownych świec woskowych; ale wkrótce nowy ten produkt zaczęto wyrabiać tańszemi sposobami, i świece te weszły w powszechne użycie. Zastąpiły one i świece woskowe, które dziś używają się tylko w kościołach i jako gromnice, a nawet świece łojowe, które są nieprzyjemne w użyciu i które tylko dla nader nizkiéj ceny są używane. Świeca stearynowa nazwaną tak jest dla tego, że składa się z kwasu stearynowego. Ale co to jest kwas stearynowy? Jest to nic innego jak tylko łój, z którego robią się świece łojowe, ale oczyszczony sposobem chemicznym, z pewnéj jego części składowéj, płynnego kwasu oleinowego, który jest przyczyną wszystkich wad świecy łojowéj, t. j. zbytniéj topliwości, miękkości i przykrego zapachu.



Marcinowa i Anusia siedziały na placu,—(str. 378, szp. 2).
(Rysował Kostrzewski—wyciął K. Kuczyński).

W ten sposób przerabiany łój, czyli już stearyna, staje się ciałem stałem, nie bardzo topliwem, jasno oświecającem, i które palone jako świeca z knotem, niepotrzebuje objaśniania (bo się sama objaśnia paląc ciągle jego koniec). Następnie massa ta stopiona wlewa się w formy, w których już najprzód umieszczono knoty splecione i wyciągnięte, a z form tych, po oziębieniu, wyjmujemy gotowe świece.

W szeregu prac i doświadczeń podjętych, celem obdarzenia przemysłu produktem, którym się zajmujemy, były dwie fazy, dwa perjody. W pierwszym nauka wykryła rzeczywisty skład materji tłustych, a zatem i łoju, i wykazała bytność w każdem ciele ludzkiem, dwóch różnych ciał kwasu stearynowego i oleinowego:

W drugim perjodzie zastosowano do użycia praktycznego te odkrycia naukowe i zastosowano je do przerabiania łoju na suchą stearynę.



Kunegunda spotkała się z Anusią,—(str. 379, szp. 1).
(Rysował Kostrzewski — wyciął na drzewie J. Sosiński).

Chemik z Nancy, nazwiskiem Braconnet, pierwszy dowiódł tego ogólnego faktu, że wszystkie ciała tłuste, bez wyjątku, składają się z dwóch wymienionych części. Następnie drugi chemik Cherrenel wykazał, jakie działanie wywierają na ciała tłuste, alkalja, (t. j. takie ciała jak wapno, potaż, soda).

Zastosowanie kwasów tłuszczowych do oświetlania i produkcją przemysłową świec stearynowych zawdzięczamy p. Milly, który rozpoczął ich wyrabianie w 1831 r., i wkrótce rozpowszechnił je w Europie, (we Francji nazywają jeszcze niekiedy świece stearynowe Bougies de l'Etoile, dla tego, że pierwsza fabryka p. Milly, była koło rogatki paryzkiéj l'Etoile, rogatki Gwiazdy).

Oświetlanie naftą i innemi podobnemi płynami.

Łój i oleje mogą być zastąpione w oświetleniu przez wiele płynów, które znajdujemy w naturze, i które jako złożone z węgla i wodoru, ciał składających gaz oświetlający, mogą go zastąpić. Ciałami temi są: terpentyna, którą otrzymujemy dystylując żywice, płynącą z sosen, oleje naftowe, petroleum. Ale oleje te, bardzo bogate w węgiel i wodór, potrzebują aby się mogły palić bez dymu i zapachu, nader mocnego przeciągu powietrza; potrzeba było zbudować lampy z osobnem urządzeniem, w których przez dostateczny ciąg, przypływa znaczna ilość powietrza, do miejsca, w którem się odbywa kombustja czyli palenie. Oświetlanie naftą jest dziś bardzo rozpowszechnione, a co jeszcze od niego dotąd odstręczało to, że oleje te mają przykry zapach i są palne. Pierwszą z tych niedogodności, dobra lampa w zupełności usuwa; nad zapobieżeniem zaś drugiéj, jako bardzo szkodliwéj, bo mogącéj spowodować wielkie nieszczęścia przez wybuch, chemicy wiele pracowali, i dziś powiedzieć można, że skutek pomyślny już osiągnęli; nafta bowiem dobrze przygotowana, chyba przy bardzo mocnem ogrzaniu, zapalić się może. Zastosowanie olejów tych do oświetlania, winniśmy francuzkiemu fabrykantowi, nazwiskiem Selligne.

Oświetlanie elektryczne.

Ostatnim rodzajem oświetlania, jest oświetlanie elektryczne t. j. światło, które powstaje przy wyładowaniu pewnéj liczby stosów elektrycznych. Wytłumaczenie samego zjawiska światła tego, jak również dokładne opisanie przyrządów służących do jego wydobycia, dla tych którzy nie mieli sposobności poznać zasad fizyki, byłoby z powodu szczupłych rozmiarów, w jakich staraliśmy się zamknąć tak obszerny z natury przedmiot, niemożliwem. Musimy się więc ograniczyć na pobieżnem opisaniu tego zjawiska, które wielu z nas zapewne oglądało; było ono zastosowane do oświecenia budowy nowego mostu na Wiśle. Strumień elektryczny, przebiegający pomiędzy dwoma rozdzielonemi drutami stosu, tworzy iskry, które w miarę wzmagającéj się siły elektrycznéj, dojść mogą do tak znacznych rozmiarów i tak wielkiéj siły, iż z jednem światłem słonecznem porównane być mogą. Złączając 40 stosów Bunsena, otrzymujemy łuk świetlny, przewyższający swą jasnością wszystkie znane sposoby oświetlania, i równający się światłu 1,000 świec stearynowych razem zgromadzonych.

Dla otrzymania tego światła, łączymy z sobą taką liczbę stosów, jakiéj użyć zamierzamy, następnie

dwa druty końcowe przymocowywujemy do dwóch prętów miedzianych, połączonych z dwoma kawałkami węgla, a po odsunięciu tych kawałków na 2 do 3 cali, zobaczymy silny łuk świetlny, przebiegający pomiędzy niemi.

Oświetlanie elektryczne dotąd mało jest używane; służy ono niekiedy tylko dla otrzymania mocnego oświetlenia robót publicznych, jak u nas budowy mostu, a w Paryżu przy robotach bulwarów. Główna trudność, stojąca na przeszkodzie w zastosowaniu światła elektrycznego do użytku domowego, jest zmienne jego natężenie. Dla otrzymania tego światła, trzeba użyć najmniéj 40 stosów, a łuk świetlny jaki wtedy otrzymujemy, nie może być zmniejszonym.

Ta okoliczność jest tem przykrzejszą, że światło elektryczne gdyby dało się zastosować do domowego użytku, byłoby tańszem nawet od gazu, który wszakże jest najtańszem z dziś znanych produktów oświetlania.

J. B.

WNUCZKA PRZEKUPKI.

„Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie."
W. P.

Kto się nie wylega do późna na puchach, kto sam sobie sługą, ten z koszem na ręku idzie raniutko na rynek, zaopatrzyć potrzeby dnia powszedniego, ten zna wszystkie przekupki, i ton ich głosu zalecający nowalje.

„Marchewka jak miód słodka!— Rzepka miękka jak masło! Groszek angielski! Ogóreczki holenderskie!" I tym podobne przysmaki wyliczają się według kamertonu, do którego nastraja się nóta wypadająca z ogranych piersi wieloletnią praktyką.

W rzędzie licznych przekupek, obsiadujących ratusz wileński i boczną ulicę placu, odznacza się powagą pani Marcinowa, ostawiona symetrycznie koszami, których bukiety pozłocistéj marchwi, barykadki z ogórków, pagórki ze szparagów i inne smakowite jarzyny stanowią harmonijną całość. Poważna ta matrona w wysokim czepcu, czarnym płaszczykiem okryta, bezzawistna dla sąsiadów, uprzejma dla kupujących, wcześniéj od innych wypróżnia swe kosze, które aż do dna zdrowym zapełnia towarem. Przy Marcinowéj siedzi z koszem czepków jéj wnuczka Anusia; podrostek dziewczę dopomaga babce, praca jéj zaleca się czystością, samorodnym gustem wabiącym przechodniów.

Około południa świat strojniejszy płynie placem: zapachnie nieraz patczula, jakby dla zagłuszenia cebuli rozłożonéj dokoła, a każdy prawie przechodzien, wywijający modną trzcinką lub dzwoniący ostrogą, rzuci okiem na Anusię, i z wężem pod pachą radby z nią pomówić. Modrookie dziewczę, bieluchne jak gołąbka, w szarym perkaliku, szyje sobie, uśmiecha się do babuni, przedaje czepki, a po południu wraca z nią do domu.

Dworek Marcinowéj aż na Snipiszkach za *zielonym mostem;* dwa razy na dzień, babka z wnuczką klęczą i mówią pacierz przed figurą Zbawiciela upadającego pod krzyżem. I Marcinowa wiele przeniosła krzyżów: było nieraz głodno i chłodno w jéj życiu; straciła ojca we Włoszech, męża pod Lipskiem, córkę i zięcia Bóg później odebrał, została jéj tylko wnuczka w kolebce, którą codnia nosiła na górę do krzyża. Dziecię jeszcze niemowlę, lecz już rączkami słup obejmowała i do karbony grosik nieraz wrzucała. Marcinowa od wieków tutejsza, znała dzieje każdego dworku i każdego z właścicieli. Temu Bóg dopomógł postawić domek, temu duch nieczysty zbudował, ten z lichwy i łez ludzkich powstał na nogi, tamten krwawą pracą gniazdo swoje zlepił. I strasznο było zaczepić Marcinową, gdy szło o świadectwo prawdzie: bez miłosierdzia wszelki fałsz gromiła, a wnuczkę ulubioną, zalewając się łzami, oćwiczyła raz do krwi, za jakieś małe kłamstwo. S. p. mój rodzic nigdy nie skłamał, i życie zapieczętował prawdą. W naszéj chałupie był nieraz głód i bieda, nie było nigdy fałszu, i dopóki ja żyję, nie będzie, mawiała Marcinowa, jak codzienny pacierz wnuczce swéj Anusi.

Dworek Marcinowéj bardzo już podżyły; podpiera go biedaczka, pracuje ciężko, by wnuczka do ślubu a ona do grobu z pod własnego wyszły dachu. Bóg sporzył pracy, dziewczę na suchym prawie chlebie ślicznie wyrosło; Opatrzność i praca wyhodowały dziecię. W dworku czysto choć ciasno; w pierwszéj izdebce kaleka sierota miała kątek darmo, w drugiéj lokuje się Marcinowa z wnuczką i całym swym sprzętem. W sionkach skrzynia z pościelą, naczynie gospodarskie, a dobytek cały składa się z dwóch kur Anusi i z prosiaka, hulającego wesoło, nim przyjdą zapusty. Pod oknami rośnie krzak róży i klon prawie bezlistny, tak stare czasy pamięta; głowa tylko ubrana w kilka zielonych gałęzi, a korpus starca oplotła Anusia powojem i obsiała w około rezedą i maczkiem.

Całą ozdobą dworku dwa obrazy: Marji Ostrobramskiéj i Pana Jezusa Antokolskiego. Młodość Anusi okraszona świeżością róży; oko jéj pogodne, oblicze jasne zdobiły i rozweselały ubogą izdebkę.

Anusia codnia chodziła na parę godzin do panny Barbary, opiekunki ubogich dziatek chcących się uczyć. Podżyła panna żyje ze skromnego procentu, i trzecie już pokolenie uczy żyć wedle przykazań Boskich.

Jednego ranka, było to w maju, Marcinowa, jak zwykle, siedziała na placu z koszem i Anusią garnirującą czepki, a między kupą przechodniów, jakiś ładny brunet z zamaszystą miną, zobaczywszy Anusię zatrzymał się przy niéj.

— Pan zapewne potrzebuje czepków? zapytała Marcinowa.

— Tak, a po czemu?

— Po złotych cztery.

— Proszę dwa wybrać dla mnie.

Marcinowa wybierała najświeższe, a brunet tak patrzał w Anusię, że gdyby była słomką, zgorzałaby od jego płomienistych oczu.

— Niech pan czepki złoży do chustki, bo się w ręku pogniota.

Brunet usłuchał rady, zapłacił złotych ośm i poszedł mówiąc, że jutro po trzeci przyjdzie.

Nazajutrz przyszedł rano, wziął czepek trzeci, patrząc na Anusię jak jastrząb na gołębia.

W parę dni potem, wracała Marcinowa z wnuczką do domu, szły *zielonym mostem*, brunet szedł za niemi; weszły na górę zmówić pacierz pod figurą Zbawiciela, i on się zatrzymał; poszły daléj ulicą, i on szedł zdala, śledząc do którego wejdą domku.

Wieczorem, gdy zagasły słońce i światło, mrok cichy kołysał zioła i kwiaty, wietrzyk karbował srebrny kryształ Wilji, brunet okryty płaszczem, pełzał jak wąż, w pobliżu chałupy sierot, które już spały, bo im wstać trzeba rano i wziąść się do pracy.

W kilka dni potem, było to w niedzielę, Marcinowa z Anusią poszły na mszę do S-go Rafała, gdzie w Babińcu od lat wielu trzepała pacierze kosooka Kunegunda, niegdyś szwaczka, potem przekupka, a dziś żebraczka. Ludzie o niéj różnie mówili, i Marcinowa, choć obdarzy jałmużną, obojętna dla Kunegundy.

Auusia,w białéj sukience, w czarnéj chusteczce rzuconéj na jasne włosy, modli się rzewnie przed ołtarzem patronki swojéj. I brunet przyszedł do kościoła, o filar oparty, szukał oczu Anusi, lecz spotkać ich niemoże, utopione w książce. Ten strojny pachnący, nadętéj miny jegomość, wyglądał jak rebus w kościele, obok pokornych dzieci Bożych, co w téj chwili zapomnieli o krzywdach żywota, przebaczyli winowajcom, i zanurzyli swe serce w zdroju modlitwy.

Błyskotki bruneta, jak drwinki złych duchów, świecą z pod płaszcza; chciałby niemi olśnić dziewczę, co jak kwiatek z Bożego sadu, nie wie jeszcze co burza, co robak łakomy na pączki.

Marcinowa po sumie wita się w Babińcu ze znajomemi, Anusię zaczepiła Kunegunda, a brunet rozdaje sute jałmużny żebrakom. Wejrzenie jego strwożyło dziewczę, jak spłoszona turkawka przytuliła się do babki.

Pod wieczór Marcinowa wyszła do sąsiadki, Anusia została w domu z sierotą Faustyną. Siedziały obie pod oknem na ławce. Klon już w górze zieleniał, powój, jak pokorne dziecię, obejmował starca za nogi, róży co chwila przybywało stroju, Anusia śpiewała sobie, Kunegunda, niby mimo idąc, zaszła do dworku, dać dobry wieczór ślicznéj Anusi.

— Codnia piękniejsza, w karecie pojedziesz do ślubu; miałam sen przeszłéj nocy, ależ jaki sen? mówiła Kunegunda patrząc w oczy Anusi.

— Nigdy mi się nie śniła nawet kareta, aby mieć jednokonną kałamaszkę, o mój Boże! jakże byłabym rada, pojechałabym zaraz do cioci do Trok.

— Od panny Anny zależy jeździć w karecie; ten wielki pan, co to nas biednych obdarzył jałmużną, co on mówił o pannie, czegoby dla panny nie uczynił, z brylantów dom by postawił, drogę usypałby złotem, a ubierałby jak królowę.

— Kunegunda bajki plecie, aż śmiech słuchać.

— Oj nie bajki, moja panno, posłuchaj mnie tylko, ale nie mów nic babuni, bo to kapryśna staruszka, Bóg wie co z tego uroi.

— Proszę mnie o tem więcéj nie mówić, musi to być coś złego, gdy przed babunią trzeba zataić. Dobranoc Kunegundo! I z temi słowy weszło dziewczę do izdebki, chcąc pozbyć się natrętnicy.

Za powrotem babki, Anusia opowiedziała brednie Kunegundy, któréj nazajutrz porządnie wytarła kapitułę Marcinowa, zapowiadając, aby nadal nie prawiła żadnych andronów, ani snów swoich.

Brunet codnia błąkał się po placu, przypatrywał się Anusi, snuł się w około dworku, szeptał z Kunegundą. Co chwila rosła namiętność, jątrzona przeciwnością, że wnuczka przekupki, dziedziczka krzywéj chałupy, niechce patrzeć nawet na niego.

Anusia co wieczór chodziła do panny Barbary na lekcje: dowiedział się o tem brunet, i jak cień włóczył się za nią. Dziewczę myślało, że i on ma pewno interesa na téj ulicy do godziny przywiązane, na myśl jéj nawet nie przyszło, że ten człowiek z grzechem w sercu, chciałby jéj czystą duszę zaprószyć. Pewnego razu szła Anusia spiesznie, płynęła za nią okropna chmura i tuż gonił brunet. Lunął deszcz gwałtowny, grzeczny kawaler podskoczył z rozpiętym parasolem, Anusia odskoczyła, w tém piorun uderzył, przeżegnało się dziewczę, i jak strzała puściło się wybrzeżem Wilji.

To duch nie dziewczynka, ależ jaka śliczna, musi być moją choćbym tysiące stracił, mówił sam do siebie najspokojniéj brunet.

Kunegunda spotkała się na *zielonym moście* z Anusią, wracającą z lekcji.

— Choć zdajesz się piękna i święta jak aniołek, a odebrałaś spokojność dobremu człowiekowi; w łeb sobie strzeli, gdy nie pójdziesz za niego.

— Za kogo? czy za indyka chce mnie Kunegunda wyswatać?

— Nie za indyka, lecz za bogatego pana: uszczęśliwisz siebie, przedłużysz życie babuni, zaofiarujesz bogate firanki do obrazu S-téj Anny, będziesz biednych wspierać. A teraz bieda i bieda! Domek zawali się wkrótce, nie macie czem podeprzeć, babunia chyrla, niedługo już pociągnie, sama jedna zostaniesz na tym wielkim świecie. *(D. c. n.)*

HERBATA I WÓDKA.

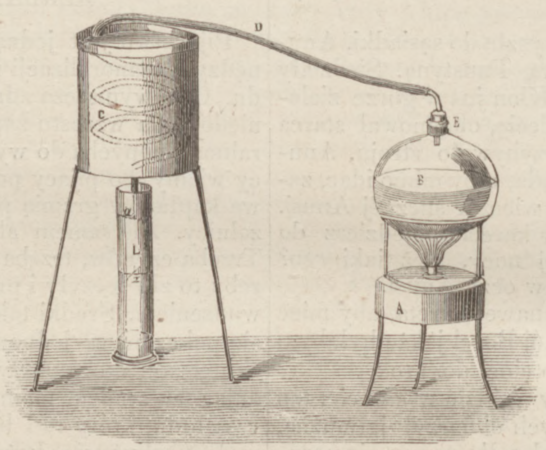
Pijaństwo jest jedną z najważniejszych przyczyn nędzy i demoralizacji niższych klass naszego narodu. Ono wyniszcza zdrowie, wysysa źródła pracy, niedozwala wzrostu zamożności; ono zatruwa moralność, popycha do występków i zbrodni. To wszyscy wiemy, bo pijacy pogardzani są wszędzie, bo słowa kapłanów grzmią przeciw temu nałogowi z kazalnicy. Ale samem słowem nie pokona się złego. Trzeba czynów, trzeba środków skutecznych, któreby to złe leczyły i przeciw niemu walczyły z powodzeniem. Środki takie są rozliczne; my zajmiemy się pokazaniem jednego, który może być bardzo skuteczny, skoro użyty zostanie umiejętnie. Wskazując ten środek, mamy na uwadze prawdziwe interesa ludu, który rad będzie łatwo i bezwiednie niemal, pozbyć się każącego go trądu, pijaństwa. W wyplenianiu szkodliwych a zbytecznie rozszerzonych nałogów, idźmy drogą natury! Owady nie dają się rozrastać trawom i lasom, któreby świat zmieniły w puszczę,—ptaki tamują zbyteczne rozmnażanie się owadów, któreby pożarły roślinność, zwierzęta drapieżne pożerają ptaki i są nawzajem przez siebie lub przez człowieka pożerane. W naturze więc jest równowaga. Każde stworzenie ma swego wroga, który nad niem czuwa. Takiego wroga i stróża należałoby postawić i wódce. Nie wyłączać, ale zamieniać należy. Prostemu człowiekowi trudno się wstrzymać od kieliszka, bo nie ma nic innego do użycia krom wódki. Dajmy mu jakiś inny smaczny, tani napój, a pewno wódkę pić przestanie. Tak, chcemy dać taki napój i proponujemy herbatę. Niech ona będzie wrogiem wódki. A czy herbata jest do tego zdolną? Zapewne, i na poparcie mamy przykłady. W Anglji, najwyższem obradującem zgromadzeniem jest parlament, któremu corocznie składają wykazy o moralnym i materjalnym stanie kraju. Otóż temu parlamentowi przedstawiono, iż od lat dwudziestu konsumcja napojów gorących znacznie się zmniejszyła, a natomiast użycie herbaty niezmiernie wzrosło. W roku 1801 przypadało na głowę, to jest średnio na każdego mieszkańca, 1 funt i 8 uncji herbaty, a dziś przypada 3 funty. Ta cyfra jest bar-

dzo znaczącą, ale w okręgach górniczych w Australji wynosi do 10 funtów na głowę corocznie, a napoje spirytualne to jest wódka, prawie nie jest wcale używaną. W saméj Anglji corok użycie herbaty wzrasta, a zmniejsza się tylko wtenczas, kiedy cło od tego artykułu zostało podniesione. Wiedzą o tem wszyscy ministrowie angielscy i tak kierują, aby podnieść cło od spirytusów, a zniżyć go od herbaty. Żaden też inny napój tak się nierozszerza. Dziś płaci się o 50% mniejsze cło od kawy niż w 1841 roku, a jednak mniéj piją Anglicy. Dla czego? bo kawę dobrą trudno gotować, a przygotowanie herbaty jest łatwe. Widząc ten pochop do zastąpienia wódki herbatą, niektóre dobroczynne stowarzyszenia Londynu, pozakładały szynki z herbatą, tak zwane: „Temperenc Inn.” Czy u nas nie możnaby tego naśladować? O, zewszech miar można. Mamy nawet przykłady, iż takie herbaciarnie dobrze się utrzymują. Trzeba tylko, żeby napój był czysty, uczciwie przygotowany i stosownéj nizkiéj ceny. Obecnie, kiedy dozwolonem jest wprowadzanie do nas herbaty kantońskiéj i mamy funt tego produktu po 5 złp. lud już może pić herbatę. Podczas zimy, szklanka gorącéj herbaty na rano i wieczór będzie dla niego nieocenioną. Lecz trzeba, by nie kosztowała więcéj nad trzy grosze. Wtedy wystąpi herbata i u nas do walki z wódką. Nie wątpimy o jéj zwycięztwie. Ale trzeba herbacie pomódz, i pozakładać w różnych robotniczych dzielnicach herbaciarnie. Najlepiéj przyjść w pomoc uczciwym wdowom, matkom rodzin, któreby z tego zajęcia zrobiły sobie fach, i znalazły w nim utrzymanie i kawałek chleba. Nie trzeba na to wielkich sum; kominek opalany węglem kamiennym z kociołkiem do wody, kamienny imbryk, oraz kilkanaście tanich szklanek i łyżeczki pomieszczą się w lada sieni lub sklepie przy innych przedmiotach, tak jak dziś woda sodowa. Przed laty kilkoma nikt nie chciał wierzyć, aby ten ostatni napój tak podobał się warszawiakom, i dał zarobek tylu ludziom. Zdaje nam się, że coś podobnego będzie z herbatą, i że ona również upowszechni się z niemałym pożytkiem. Zachęcamy nawet prywatnych, aby drobne swe kapitaliki i usilność swą w ten sposób włożyli. A niechno tylko pierwsze lody przełamią się, to już daléj wszystko pójdzie dobrze. Więksi przemysłowcy mogą też w różnych punktach miasta takie herbaciarnie pozakładać. Jeżeli woda sodowa po dwa nawet grosze kufelek daje zysk, to i herbata po trzy lub i cztery grosze szklanka, może się dobrze procentować. Bardzo będziemy radzi, jeżeli nasz głos wywoła ten rodzaj miejskiego przemysłu, i herbata przyczyni się do rugowania wódki i obmierzłego pijaństwa.

Adam Wiślicki.

Alembik Sallerona do odbywania prób.

Mały ten podręczny aparat używanym jest do dochodzenia obfitości alkoholu w winach, cydrach, piwach, słodkich wódkach, różnych likierach i t. p. spirytusowych płynach. Aparat ten widzieć można bardzo często w Paryżu, nietylko u kupców win, którzy za jego pomocą prędko i dokładnie są w stanie ocenić moc spirytusową, nabywanych przez siebie trunków, ale jeszcze i u dystylatorów rozpoznających moc kupowanych zapraw i farbników, zwykle tu już na spirytusie przyrządzonych i gotowych do użytku w sklepach. Za pomocą też tego alembiku można rozpoznawać moc różnych likierów, jakie wyrabiają w sekrecie różni dystylatorzy, a przytem alembik ten w doświadczeniach naukowych często używa się z wielką korzyścią. Skład tego małego alembiku jest taki: Nad lampką spirytusową *A*, umieszczona jest szklanna bania *B*, w którą nalewa się płyn, jakiego mocy spirytusowéj dochodzić chcemy. Przez korek *E*, zatykający tę bańkę szklanną, przeprowadzona jest rurka *D*, idąca do ustawionéj na trójnogu chłodnicy *C*, napełnionej zimną wodą, przez którą to chłodnicę rurka ta przechodzi zwinięta wężowo i koniec jéj wychodzi do podstawionego szklannego naczynia z podziałką na boku. Za ogrzaniem zatem w szklanéj bańce będącego płynu, spirytusowa para uchodzi w rurkę, w któréj oziębiwszy się w chłodnicy, ścieka w postaci płynu w podstawione naczynie, gdzie się wymierza za pomocą zwykłego do wódek i spirytusów próbierza. Alembik ten Sallerona wraz z opakowaniem i przepisem użycia, dostać można za cenę 27 franków w Paryżu u *Dubief (père) Boulevard de Fontarabie Nr. 10.*



Alembik do prób.—(Rysował i wyciął na drzewie K. Kuczyński).

Myśli i Zdania.

— Gadatliwy nie jest ten co wiele mówi, ale ten co więcéj mówi jak myśli.

— Czcza sława podobna jest do pięknych kwiatów, które nie wydają żadnych owoców.

— Czas już, ażeby nieprzeliczone prace myślących, stawały się chlebem powszednim dla wszystkich.

— Jeżeli jesteś biednym, to odznaczaj się cnotami i moralném prowadzeniem się; jeżeliś zaś bogaty, to odznaczaj się dobrémi uczynkami.

— Długa nadzieja uczy błądzić, omylona nienawidzieć.

— Czego odmówić niemożesz, daj pierwéj niż będą prosić. Piękniéj darować niż dać.

— Łatwiéj wiele rzeczy złych poprawić jednemu, niż jedną rzecz dobrą wykonać wielom.

— Żadna sprawa nie jest dobrze poczęta w saméj rzeczy, która nie jest wprzód ukończona w myśli.

— Łatwiejsza dać naukę niż obyczaje.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.